



# Szlakiem koki i guano...

TEKST: ROBERT KROOL, ZDJĘCIA: AGNIESZKA KROOL

Jorge Luis Borges – argentyński pisarz, poeta i eseista - nawiązując do genezy powstania swojego utworu „Dociekania Awerroesa” (znajdującego się w zbiorze opowiadań pt. „Alef”) tłumaczy się z chęci opowiedzenia dziejów porażki. Jego bohater, muzulmański filozof Awerroes, zasiada do przekładu „Poetyki” Arystotelesa. Sfokusowany na rygorystycznych zasadach islamu, podejmuje beznadziejne próby zrozumienia pojęć: komedia i tragedia. Nie mając bladego pojęcia o teatrze, ponosi sromotną klęskę, gdy próbuje zrozumieć, czym jest dramat...

14-dniowa wędrowka po Peru uświadomiła nam dosadnie, że to co piękne, w tym zadziwiającym kraju, to: andyjskie pejzaże, dawne budowle oraz, niestety, historie. I jest to swego rodzaju komedia, gdyż wszystko, co nastąpiło później, czyli od czasów najazdu (w latach 1531-1534) Pizzara (patrząc po zawodzie wyuczonym - pasterza świń) z watahą około 150 żołdaków, to już hiszpańska tragedia, która z czasem zamieniła się w... komedię. Budowle wzniesione na zlecenie inkaskich władców, podobnie jak szlaki górskie, mają się świetnie, zaś budowle stawiane pod hiszpańskim władaniem przy byle trzęsieniu ziemi składają się jak domki z kart.

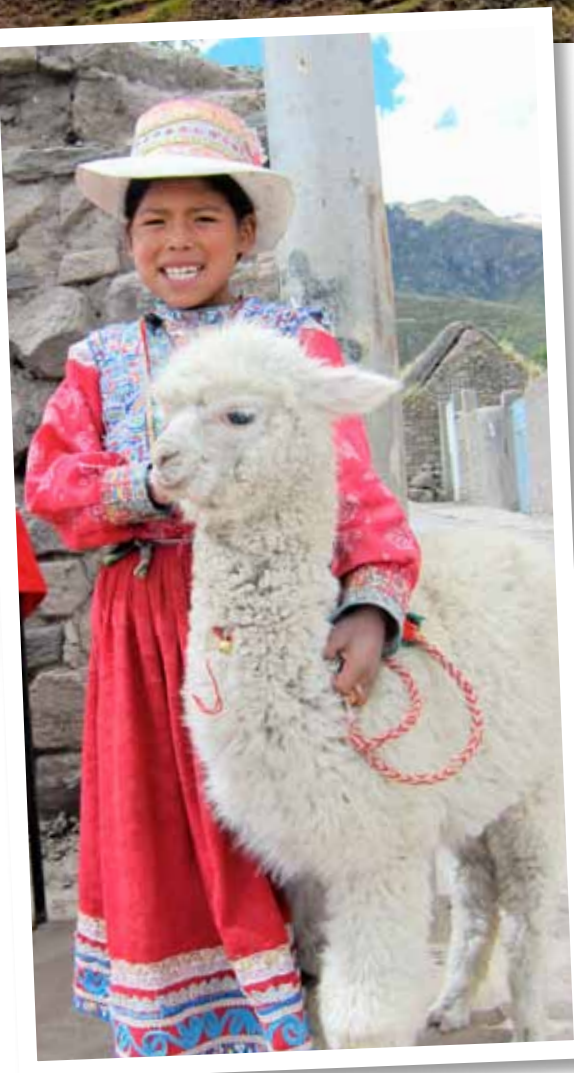
Tragedia - hiszpańscy odkupiciele działali bezwzględnie. Komedia - wielomilionowe społeczeństwo Inków padło ofiarą swej własnej religii, gdyż początkowo uważali najeźdźców za wystaników bogów. Tragedia - widok koni, muszkieterów oraz armat wywoływał strach. Komedia - uciskane przez Inkę rozliczne plemiona chciały widzieć w potężnych przybyszach swych wybawców i obrońców. Często więc Indianie sprzymierzyli się z konkwestadorami. Twierdzenie, jakoby podbój Peru dokonali wyłącznie rękami garstki Hiszpanów jest mylne, gdyż w szeregu bitew obok hiszpańskich „komandosów” walczyły tysiące indiańskich sojuszników. Ponadto Imperium Inków było mocno osłabione niedaw-

ną wojną domową. Tragedia - bystry świniopas Pizarro zaprosił zwycięskiego władcę, Atahualpę, wraz z 5 tysiącami przedstawicieli szlachty indiańskiej. Nieuzbrojeni goście zostali w czasie biesiady wymordowani. Oszczędzono i wzięto do niewoli samego władcę. Hiszpanie zażądali okupu. Pomimo tego, że podobno otrzymali 6 ton złota i 12 ton srebra, Atahualpa został skazany na śmierć przez spalenie na stosie. Komedia - inkaski władca, podobnie jak jego „koledzy cesarze i królowie” był od urodzenia utrzymywany w przekonaniu, że jest bogiem słońca na ziemi. Lista dziwactw oraz idiotyzmów, które składały się na ten „niezbity fakt” była tak samo długa jak w przypadku japońskich, chińskich lub naszych rodzimych osłów cesarzy. Jego zdziwienie, naiwność oraz bezradność były więc zrozumiałe, skoro od dziecka żył w błogim przeświadczeniu, że jest bogiem. Zgodnie z wierzeniami Inków spalenie ciała było równoznaczne z zabiciem duszy. Komedia - Hiszpanie zgodzili się łaskawie na śmierć przez uduszenie, pod warunkiem wcześniejszego ochrzczenia Atahualpy przez hiszpańskich klerików. I tak się stało. Tragedia - po śmierci inkaskiego władcy jego armie rozproszyły się, a wataha „komandosów” niepiśmiennego świniopasa, Pizarro, w ciągu kilku lat opanowała całe imperium Inków...

Powstałe w XII wieku państwo Inków stało się rozległym imperium w ciągu niespełna 200 lat, jeszcze przed tzw. odkryciem Ameryki przez Europejczyków. Na początku XVI wieku obejmowało prawie całe wybrzeże Pacyfiku wzdłuż Andów oraz tereny obecnego Peru i Boliwii położone w głębi kontynentu. Zamieszkujące te obszary około 12 milionów ludzi zostało podbitych przez oddział Hiszpanów trochę większy niż współczesna kompania. Mamy więc na przemian komedię, tragedię i znowu komedię. Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie.

Nasza wędrowka nie była jednak „napiętnowana” przez tragikomiczne historie tych terenów, lecz przede wszystkim przez piękno, ciszę, odmienność fauny, flory oraz wysokości na jakich się poruszaliśmy.

Po wylądowaniu w Limie i degustacji smacznego lokalnego drinka Pisco Sour, pofrunęliśmy przez Cuzco do regionu Parku Narodowego Tambopata. By się dostać do zaplanowanego Ecolodge w dżungli podróżowaliśmy ponad 4 godziny dość chybliwymi todziami, mijając odnogę rzeki nazwaną (jak wiele miejsc w Ameryce Płd.) na cześć naszego stawnego, zarówno w Peru, jak i na świecie, konstruktora, Ernesta Malinowskiego. Dojrzenie niedużych kajmanów, baraszkujących gromadnie na brzegu największych na świecie gryzoni kapibar,





wariujących z matpami w koronach nadbrzeżnych drzew tukanów, czy zwyczajnie papug - nie wymagało zbyt wielu umiejętności obserwacyjnych. 16 osobowa ekipa zaczęła się dopiero co integrować z naszą trójką prowadzących Wędrowną Lidera po Peru: Beatą Pawlikowską, Martyną Kłoską i mną. Naturalnie, każde miejsce miało jeszcze swoich lokalnych przewodników, co dawało możliwość rozproszenia się na małe grupki. 3 noclegi w ecolodge (lokalne 5 gwiazdek), gdzie dostęp do prądu był tylko od 17.00 do 19.00, dał nam możliwość zapomnienia o urokach minionej podróży. Przelot na trasie: Warszawa – Amsterdam; potem 5 godzin na, moim zdaniem, jednym z najlepszych lotnisk w UE, czyli w Amsterdamie, gdzie masaż stóp, ramion lub gra na pianinie i kominek w lotniskowym lobby - to tylko namiastka atrakcji, że nie wspomnę o pomieszczeniach do medytacji; wreszcie około 12- godzinny lot do Limy. W stolicy Peru szybki sen, rano pobudka, lotnisko. Finalnie przelot liniami wewnętrznymi; przejazd autokarem do przystani wodnej i wycieczka wodna. Nietrudno się domyślić, że by to nie lada wyzwanie dla jeszcze niezintegrowanej grupy przeróżnych osobowości o profilu przedsięwzięciowym, artystycznym, a zarazem podróżniczym. Po zapadnięciu zmroku w łodze ponawiały egipskie ciemności, a jedyne, co odgradzało nas od dżungli, to wykaraczony pas kilku metrów oraz jakby okiennice, bez okien... W nocy, gdy obsługa zgasła wszystkie świece w każdym pomieszczeniu, pod szczelną moskitierą było ciemno jak w przystawie... no właśnie, wtedy pomagało tylko jedno. Zamknąć oczy. W czasie warsztatów maty dokazywały,

wyraźnie zwracając na siebie uwagę, dostownie przed „nieistniejącymi oknami”, a niejedynemu z nas spotkał przepiękną tarantulę na... balustradzie przed sypialnią. W samej dżungli bardziej przydają się kalosze niż buty trekkingowe, i wystarczy na 5 minut zamknąć gębę oraz wstrzymać ruch, by ujrzeć, że ta pozornie nieruchoma ściana tropikalnego lasu obserwuje nas i rusza się na każdym kroku. Jeśli jeszcze nie widzieliście wędrujących drzew lub też innych, jakby zakończonych męskimi penisami, i gdy nie widzieliście miejsca, gdzie wszystkie rośliny walczą o dostęp do słońca - to peruwiańska dżungla zadziwi Was. Nie wolno również zapominać, że cała ta gęstwina chaszczy, krzewów, roślin, w tym i ponad 30-metrowych drzew, stoi na podszyciu nie przekraczającym 80 cm. Pod spodem zaś lita skata...

Następnym etapem było Cuzco, dawna stolica Inków. I tu zaczęło się niewinnie, na razie tylko 3325 m n.p.m. Na szczęście, już po wyjściu z samolotu zostaliśmy uraczeni paczką liści koki, około 25 gram za 1 zł. Na tym ziele co poniektórzy jechali długo, gdyż choroba wysokościowa prędzej czy później (zwłaszcza w okolicach 4000 m n.p.m.) dopada każdego. Jednak po tzw. aklimatyzacji wróciliśmy do tradycyjnych metod znieczulania się, takich jak: rum, whisky, wino. Beata Pawlikowska zorganizowała nam spotkanie z autentycznym szamanem, z którym odprawiliśmy mszę opartą na tradycyjnych obrzędach i wrózeniu z liści koki. Kolega szaman w towarzystwie seniorowego asystenta bawili się z nami do wczesnego wieczora. W Cuzco próbowaliśmy też po raz pierwszy słynnych świnek morskich. Okazało się, że smakują

jak skrzyżowanie kurczaka z dorodną żabą, a przy tym, następnego dnia nie ma żadnej zemsty faraona. Jeśli ktoś lubuje się w różnych odmianach złota, wyrobach rękodzielniczych i oryginalnych wzorach, to wyjedzie z Peru usatysfakcjonowany, gdyż takich wzorów w UE „nie ma”, a ceny o wiele niższe.

Pociąg do Machu Picchu, sama wspinaczka oraz uroki miasteczka na dworcu (nie wiadomo, czy to miasteczko, czy wielki dworzec), to czas sprzyjający kontemplacji, wyciszeniu się, i być może, jak w naszej grupie, obfitujący w kilka przelotów osobistych, jak pokonanie lęku wysokości. Przy głównej bramie do zabytkowego kompleksu Machu Picchu stoi 5-gwiazdkowy hotel, w którym jedyny język, jaki słyszałem - to był rosyjski. Za to na dole w miasteczku jest kilka powalających swym klimatem hoteli, niestety lub stety, wszystkie są drogie, ale jeśli ktokolwiek zapyta, czy warto? Odpowiem: warto każde pieniądze. Zapłaciłbym i 3 razy więcej. Serio.

Puno i jezioro Tititaca - to oblige podczas wędrownki po Peru. Muszę jednak stwierdzić, że moja druga wizyta nad tym najwyższym położonym żeglownym akwenem na świecie była zdeterminowana przez krytyczne spojrzenie na aspekt komercjalizacji tegoż miejsca. Więcej tam nie pojedę, ale „raz” trzeba zaliczyć, gdyż na wysokości ponad 3800 metrów mamy stokodwodny staw o powierzchni 8372 m<sup>2</sup>, dochodzący w najgłębszym miejscu do 281 metrów głębokości. To jest czad, gdyż historycznie rzecz ujmując ludziska żyli tam na pływających, własnoręcznie zrobionych wyspach. Obecnie liczba pływających wysp wynosi 40, ale to zmienia się co roku. Jacques Cousteau wraz z synem penetrowali

ongiś jezioro swym batyskafem w poszukiwaniu rzekomo zatopionego złota Inków. Co znaleźli? Na głębokości około 70 metrów natknęli się na olbrzymie żaby z wykształconym skrzelałami... W skrócie, Puno i jego okolice - to być może jedyne miejsce, gdzie możecie zapaść i na chorobę wysokogórską, i na wodną jednocześnie.

Colca była pociągająca z kilku powodów. Nad głową śmigły wielometrowe kondory. Choć są sępowate, ich szpony są zbyt słabe, by zabić ofiarę. Unoszą się więc z nią szybko, by zrzucić i zabić lub swym zachowaniem podprowadzają zwierza, jak lamę lub byka pod przepaść i... tak nastraszą, że spada. Nad jednym z takich dalszych rowów w ziemi, przy moście prowadzącym do naszego hotelu zrobiliśmy wieczorne warsztaty z udziałem lokalnego rumu i inca coli (odmiana coca-coli). Panowie chodzący na stronę zębieni, gdy jadąc przy porannej zorzy autokarem, zerknęli w głąb szczeliny, nad którą debatowaliśmy biesiadnie. Otchtań...

O Arequipie nie ma co pisać. To wycieczka na jeden dzień, a w Nazca tym razem nie byliśmy. Będąc przed laty na Kongresie Paleoastronautyki w Limie odkryłem, że warto wynająć śmigłowiec. Inne wycieczki w Nazca nie mają sensu. Z lotu ptaka widać wszystko jak na dłoni, i żaden utytułowany osioł nie musi już nikomu żadnego zjawiska tłumaczyć. Zamykając naszą wyprawę, muszę nawiązać do początku tego materiału, do tragedii i komedii. Otóż, by komedii stało się zadość, musimy wiedzieć o pewnym wątku zbrojnym związanym z Peru. By go zrozumieć, muszę wpięć wyjaśnić jedno pojęcie: chodzi o guano, czyli odchody ptaków morskich lub nietoperzy, gromadzące się od wieków na powierzchni ziemi lub w jaskiniach, głównie na zachodnich wybrzeżach Ameryki Południowej (Chile, Peru) i wyspach sąsiednich. Grube pokłady ekskrementów tych zwierząt eksploatowane są jako cenny nawóz naturalny. I tu mamy nasz wątek wojenny o kryptonimie „Wojna o Pacyfik” lub też „wojna saletrzana”. Był to konflikt zbrojny w latach 1879-1884, pomiędzy Chile i potężnymi siłami Boliwii oraz Peru. Wojna zakończyła się zwycięstwem Chile, które zdobyło terytorium bogate w surowce mineralne i odcięło Boliwii dostęp do Pacyfiku. Peru straciło swoją prowincję Tarapacá, a Boliwia dostęp do morza.

Wojna o „gówno” jest wprawdzie powszechnym zjawiskiem, ale raczej nigdzie nie potraktowano tego, aż tak dostownie... To była moja druga wizyta w Peru. W przyszłym roku planuję trzecią, gdyż na północy tego wspaniałego kraju odkryto potężne piramidy, pochodzące sprzed... 5 tysięcy lat. A do moich Wędrowników Lidera zapraszam na [www.langas.pl](http://www.langas.pl)

